WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 42 6 KWIETNIA 1976 R. CENA 1,50 ZŁ

Zdjęcie: **Jan Styczyński**

MIĘDZY ARENĄ A SREBRNYM EKRANEM

czyli O AUTENTYZMIE W SZTUCE piszemy na str. 4

O BEZPIECZEŃSTWO NA DROGACH

RZESZÓW (HSI). Przy Zespole Szkół Samochodowych w Rzeszowie działa drużyna MSR-u. Od początku roku szkolnego harcerze prowadzą szeroką akcję pod hasłem: „O bezpieczeństwo na drogach". Członkowie klubu MSR zorganizowali kursy na kartę rowerową. Przykładem ich działalności może być Szkoła Podstawowa nr 19, w której szkoleniem objętych zostało 450 uczniów. Co dwa tygodnie organizowane są także spotkania, na których odbywają się wykłady specjalnościowe. Poza tym harcerze urządzają zajęcia z ciekawymi ludźmi, wyświetlają filmy o tematyce ruchu drogowego. W najbliższych dniach MSR-owcy zamierzają przeszkolić młodzież wiejską.

Henryk Bednarek

BIWAK W... SZKOLE

ŚWIECIE (HSI). Przy Szkole Podstawowej nr 6 w Świeciu od dwóch lat działa szczep harcerski. Niedawno zorganizowano pierwszy „wiosenny biwak", który ze względu na pogodę odbył się... w szkole, na sali gimnastycznej. W jego przygotowaniu pomagali uczniowie z Technikum Mechanicznego, którzy wypożyczyli materace i koce. Oni także zrobili harcerzom pamiątkowe zdjęcia. Pieniądze potrzebne na zorganizowanie całej imprezy harcerze zebrali ze sprzedaży makulatury oraz z loterii fantowej. (ach)

Brawo harcerze z Elbląga!

BĘDZIE WŁASNA PRZYSTAŃ ŻEGLARSKA

Inicjatorem przedsięwzięcia był druh harcmistrz **Lech Stodolski,** znany w Elblągu pod pseudonimem „Ścigany". Wiecznie zabiegany wokół spraw z budową harcerskiej przystani, jest bliski osiągnięcia celu. Już w czerwcu br., zaledwie dwa lata od powstania pomysłu, elbląscy wodniacy otrzymają przystań z prawdziwego zdarzenia. Własnymi rękami wznoszą mury, a jak zrobi się ciepło, przystąpią do zbijania pomostów. W nowym budynku znajdzie się miejsce na hotelik, gdzie będą mieszkać przyszli adepci trudnej sztuki żeglowania, a także świetlica, bosmanówka, hangary oraz warsztaty remontów i konserwacji jachtów.

Przed elbląskimi żeglarzami otwiera się droga nie tylko na Bałtyk.

Pół stopy wody pod kilem! **(zp)**

Zdjęcie: **M. Szymański**

NAJLEPSI W TENISIE STOŁOWYM

CHEŁM (HSI). Komenda Chełmskiej Chorągwi ZHP im. Manifestu Lipcowego wspólnie ze Zrzeszeniem Wojewódzkim LZS zorganizowała niedawno turniej gry w tenisie stołowym, szachach i warcabach. Finały zawodów poprzedziły rozgrywki w drużynach, gminnych związkach drużyn i w hufcach. Największą popularnością cieszył się tenis stołowy, w którym uczestniczyło ok. 5 tysięcy harcerzy. 14 marca odbył się wielki finał chorągwiany, który zgromadził 100 zawodników. Zwycięzcy otrzymali cenne nagrody rzeczowe ufundowane przez ZW LZS w Chełmie. Pozostałym uczestnikom wręczono książki. **(ach)**

PRZEPROWADZKA GOŁĘBI

WŁOCHY (PAP). Zarząd Miejski Wenecji podjął decyzję usunięcia ok. 150 tysięcy gołębi z centrum miasta i przeniesienia ich do innych regionów kraju. W Wenecji pozostanie ok. 50 tysięcy tych ptaków, związanych od wieków z panoramą placu Św. Marka. Część gołębi „zamieszka" w strefie podmiejskiej Wenecji, a liczne karmniki rozmieszczone na drzewach stanowić mają gwarancję, iż gołębie nie powrócą do swojego poprzedniego miejsca pobytu. **(ej)**

POBAW SIĘ ZE MNĄ

...Zdaje się prosić króla Gustawa Wazę (panującego w XVI wieku) mały mieszkaniec szwedzkiego miasta Mora.

Zdjęcie: **CAF**

Na światowej scenie:

Historia wzlotu i upadku

Kiedy w lipcu 1974 roku Maria Estella Peron obejmowała urząd prezydenta, na ulicach Buenos Aires witały ją entuzjastyczne okrzyki zgromadzonych tłumów. Kiedy zaś po dwudziestu miesiącach prezydentury Rada Wojskowa obaliła rządy pani Peron i sama przejęła władzę, w jej obronie nie podniósł się nikt.

Maria Estella Peron objęła funkcję prezydenta po śmierci swego męża Juana Perona. Uprzednio, u boku swego męża pełniła funkcje wiceprezydenta i dała się poznać w tym czasie, jako zwolenniczka reform socjalnych m.in. taniego budownictwa mieszkaniowego. Tym większe było zaskoczenie jej sympatyków, kiedy już w dwa miesiące po objęciu urzędu prezydenckiego lewe skrzydło peronistów ze swymi oddziałami zbrojnymi „Monteneros" musiało zejść do podziemia. Ironia tego faktu polega na tym, że to właśnie Juan Peron po objęciu władzy ogłosił amnestię i zalegalizował „Monteneros". Dalsze działania pani Peron wskazywały, że będąc pod wpływem swego sekretarza i ministra opieki społecznej w jednej osobie — Lopeza Regi, zmierza coraz bardziej na prawo. Takie stanowisko oddalało ją od czołowych działaczy peronistycznych, rekrutujących się spośród przywódców ruchu związkowego a także liberalnych grup burżuazji.

Złudzenia zaczęła tracić uboższa część społeczeństwa argentyńskiego. Szybko rosnące ceny spowodowały gwałtowne obniżenie poziomu ich życia. Spadła też produkcja, zaczęły się też wyczerpywać rezerwy złota w skarbie państwa. Rząd przedstawił wówczas program uzdrowienia gospodarki, polegający na podwyżce cen podstawowych artykułów o 150 proc.

Równolegle z kursem w prawo, w kraju zaczął działać terror polityczny, stosowany zarówno przez Antykomunistyczny Alians Argentyny jak i policję. Maria Estella Peron zaczęła kolejno tracić oparcie w parlamencie, armii i całym społeczeństwie. Ostatni program rządowy naprawy gospodarki zawierał kolejne propozycje wysokich podwyżek cen. Spowodowało to falę strajków i protestów a także postępujące rozprzężenie polityczne.

W tej sytuacji doszło do zamachu stanu. Rada Wojskowych, zapowiedziała szereg posunięć zmierzających do rozwoju produkcji i stopniowego opanowania inflacji. Ich program zakłada również, utrzymanie stanu zatrudnienia oraz zmiany w systemie podatkowym w celu zmniejszenia deficytu państwa. (bz)

To już ostatni artykuł w tym cyklu, choć o przemianach na wsi polskiej można nieskończenie. Myślę jednak, że dla ogólnego dopełnienia obrazu kilka słów należy się też młodzieży wiejskiej oraz dzieciom.

Koniec wielkiej spokojności (7)

WALKA O RÓWNY START

NAUKOWCY stwierdzają: rosną aspiracje młodych mieszkańców wsi; coraz częściej pragną oni w swym życiu dobrej literatury, kina, teatru, prasy; interesują się polityką, techniką, innymi dziedzinami życia, nie związanymi z rolnictwem, a rozwijającymi intelektualnie.

Ale wraz ze wzrostem aspiracji ci sami badacze stwierdzają ogólnie niższy poziom intelektualny młodzieży wiejskiej: braki w słownictwie, w zasobie pojęć, w wiadomościach ogólnokształcących. Jak to możliwe? Odpowiedź najprostsza brzmi: chęci nie dorównują przygotowaniu.

Te różnice między młodzieżą wiejską i miejską najjaskrawiej widać chyba w czasie egzaminów na studia. W wielu wypadkach nie pomagają nawet punkty dodatkowe, aby kandydat ze wsi mógł przekroczyć próg uczelni. Wypada więc zadać pytanie: dlaczego?

I w tym momencie publicysta, który ma na nie odpowiedzieć, a dysponuje zaledwie kilkoma stronami maszynopisu, wzdycha ciężko, bowiem problem jest złożony, ogromny i trudny. A zaczyna się właściwie od kolebki...

ŻYCIE w mieście jest bogatsze niż to na wsi, dostarcza dziecku miejskiemu o wiele więcej doświadczeń niż środowisko wiejskie swemu dziecku. Różnorodność zjawisk, które miastowy chłopak lub dziewczyna obserwują i o których mogą z rodzicami rozmawiać, jest bez porównania większa. Tymczasem życie na wsi i związana z nim praca na roli powoduje, że egzystencja dziecka wiejskiego ogranicza się właściwie do obrębu jednej wsi, a choć kontakty jego z miastem lub inną wsią są dziś o wiele częstsze niż dawniej, to jednak dość powierzchowne, związane przede wszystkim z dojazdami do szkoły. Rodzice nie mają bowiem zbyt wiele czasu — ze względu na charakter swej pracy — na bliższe zajęcie się nim: żeby pojechać do teatru, kina, poczytać wspólnie książkę, czy normalnie porozmawiać. Poza tym często nie widzą jeszcze potrzeby rozszerzania zainteresowań dzieci, także dlatego, że w takim duchu zostali sami wychowani: „za moich czasów zabawek nie było"; „mnie tam nikt nie wysyłał na wycieczki, a na ludzi wyrosłem". A przecież wszystkie te dziecięce doświadczenia są podstawą dalszego pomyślnego rozwoju.

Przede wszystkim w rodzinach rolników indywidualnych liczba rozmów z dziećmi jest znikoma. Rodzice nie odpowiadają na ich pytania, swoje słowne kontakty ograniczając do wydawania poleceń i strofowania. A niezaspokojenie tych naturalnych potrzeb dziecka powoduje opóźniony rozwój mowy i zubożenie słownictwa. I choć w rodzinach miejskich owo zjawisko występuje również dość często, jednak bogatsze w swej strukturze życie w mieście potrafi to zrekompensować. Kina, teatry, biblioteki, domy kultury są w zasięgu ręki. Nie wymagają specjalnej wyprawy z rodzicami. Natomiast wiejskie kluby kultury oferują możliwości o wiele skromniejsze.

Albo sprawa zabawek. Na wsi jest ich znacznie mniej niż w mieście. A przecież wszelkiego rodzaju układanki, klocki, wycinanki, którymi otaczane jest dziecko miejskie, rozwijają w sposób istotny wyobraźnię, uczą planować i projektować, rozwijają umiejętności dokonywania analizy i syntezy, kształcą sprawność ręki i intelektu.

Tymczasem program klasy pierwszej musi — jak to się mówi — bazować na jakichś wstępnych, przeciętnych wiadomościach dziecka. Niestety, dziecko wiejskie często jeszcze, stając u progu szkoły podstawowej, znajduje się poniżej tego przeciętnego poziomu. Aby więc sprostać zadaniom, stawianym przez szkołę, uczeń ze wsi powinien w szybkim tempie wyrównać tę różnicę poziomów, nadążając jednocześnie za programem, co do niedawna było praktycznie niemożliwe, również z tego powodu, że musiałby na to mieć dodatkową ilość czasu, tymczasem rodzina angażowała go dość intensywnie do prac w gospodarstwie, kosztem czasu na naukę. Jak tu więc można było mówić o nadrabianiu zaległości?

SYTUACJA ta w ciągu ostatnich lat uległa pewnej zmianie. Powołano do życia szkoły gminne, wprowadzono klasy przedszkolne, wyrównujące poziom dzieci i przygotowujące je do równego startu; szkoła przejęła również opiekę nad dzieckiem po zajęciach, organizuje wspólne odrabianie lekcji, różnorakie sekcje zainteresowań, kółka hobbistyczne itd., itp, — wszystko zaś po to, aby zapewnić dziecku wiejskiemu jak największy dopływ nowych wrażeń i informacji, bo przecież o rozwoju decyduje nie tylko dobrze wyposażona klaso-pracownia.

Jaki będzie rezultat tych zabiegów, pokaże przyszłość. Poradnie wychowawczo-zawodowe już notują pewien postęp: spadek drugoroczniaków wśród wiejskich uczniów i mniejsze kłopoty w trakcie pierwszych lat.

Te same poradnie stwierdzają również, że większe sukcesy szkolne i wyższy stopień poziomu intelektualnego osiągają dzieci pracowników PGR i spółdzielni produkcyjnych. Zwłaszcza widać to w gospodarstwach dobrze prowadzonych, z tzw. bogatym zapleczem socjalnym, gdzie jest kino, świetlica, przyjeżdża teatr, są też inne ciekawe formy życia kulturalnego, dostarczające tematu do rozmów rodzinnych, do wspólnego przeżywania zjawisk kulturowych, wzbogacających przecież obie strony — rodziców i dzieci.

Ale na to potrzeba kilka godzin czasu wolnego „ciurkiem". Tymczasem rolnicy indywidualni, choć dzięki mechanizacji i różnym innym nowoczesnym udogodnieniom w gospodarstwie mają coraz częściej w ciągu dnia w sumie czasu wolnego prawie tyle samo, co ich koledzy z sektora uspołecznionego, to jednak nie jest to **czas wolny ciągły** — jak mawiają socjologowie. Po prostu praca w gospodarstwie indywidualnym, gdzie nie ma mowy o zmianowości i o wyłącznie 8-godzinnym dniu pracy, zwłaszcza w hodowli, kiedy to trzeba być przy zwierzętach prawie całą dobę na okrągło, pozwala jedynie na tzw. **czas wolny przerywany.** Tu godzinka wolnego (uzyskana dzięki mechanizacji), potem dwie godziny pracy, znów dwie godziny wolnego, i tak w kółko. A wtedy — wiemy to z własnego doświadczenia — trudno nawet za coś się zabrać — za książkę, naukę, nawet za rozmowę z dziećmi — bo nie ma tej psychicznej gotowości, która by do tego skłaniała. Nie ma czasu na tzw. **łańcuch relaksowy:** odprężenie po pracy, regeneracja sił, czyli chwila odpoczynku biernego i nabierania chęci do odpoczynku aktywniejszego, wreszcie — twórcze przeżywanie dalszych chwil. Ale „poszatkowany" czas wolny rolnika indywidualnego pozwala tylko na to pierwsze i... już trzeba znów iść do pracy.

Być może, w przyszłości, kiedy technika bardziej pójdzie naprzód, będzie możliwa tzw. zmianowość pracy w obrębie rodziny. Futurologowie w tym momencie mówią jednak, że nim do tego dojdzie całe rolnictwo wkroczy w erę zespołowej gospodarki — obok państwowej i spółdzielczej pojawia się (już to się zresztą dzieje) zespoły kooperacyjne, skupiające na zasadzie dobrowolności po kilku rolników ze wsi.

JAKI więc wniosek z tych rozważań?

Nadchodzi kres spokojności również w sferze wychowania. Znamy to: „Taka będzie Rzeczypospolita..." Dotyczy to również wsi. Wśród młodego jej pokolenia rozbudzone zostały pewne oczekiwania, państwo wychodzi im naprzeciw. Być może, już niedługo przy przyjmowaniu na studia nie będzie można odróżnić, kto pochodzi ze wsi, a kto z miasta.

WOJCIECH PIELECKI
Zdjęcie: **K. Adamowski**

Mózg kontra komputer

Jasno oświetlona sala widowiskowa. Na scenie przy czarnej tablicy człowiek z kredą w ręce. Setki obserwatorów. Z sali pada pytanie: ile jest 1 594 323 pomnożone przez 34 562? Po kilku sekundach zapytany wypisuje na tablicy gotowy wynik. Chwila przerwy. Publiczność mozolnie rachuje na kartkach — wynik na tablicy jest prawidłowy. W czasie tego niezwykłego pokazu człowiek na scenie, jakby od niechcenia wyciąga pierwiastek szóstego stopnia z liczby 40 242 074 782 776 576, następnie podnosi liczbę 97 do dziesiątej potęgi itd. W głowie się mąci na samą myśl tych tasiemcowych rachunków, nie mówiąc już o bezbłędnym ich wykonaniu. Człowiek na scenie, 37-letni Aron Czikwaszwili, prawnik i ekonomista z Gruzji radzi sobie z nimi tak jakby to była tabliczka mnożenia.

Kilka lat temu w Lille, Francuz Maurice Dagber rozegrał „mecz" z komputerem, który mógł wykonać milion operacji w ciągu sekundy. Dagber oświadczył przed meczem, że uzna się za pokonanego, jeśli maszyna rozwiąże 7 zadań szybciej niż on... 10, dał jej więc fory. Rozwiązanie wszystkich 10 zadań zajęło Francuzowi 3 minuty i 43 sekundy, zaś komputer swą pracę wykonał w ciągu 5 minut 18 sekund. Działo się to w obecności jury złożonego z fizyków, matematyków, psychologów.

Dość nieoczekiwanie zakończył się pojedynek Hinduski Szakuntali Devi z kilkoma komputerami naraz w jednym z indyjskich uniwersytetów. Także i w tym wypadku człowiek okazał się szybszy. Po tym wydarzeniu dziewczynę zatrudniono w kilku bankach i placówkach badawczych, gdzie wykonuje ogromne obliczenia demograficzne i finansowe, a także kontroluje wyniki obliczeń... komputerów.

Dziwna rzecz, fenomenalnym uzdolnieniem do rachunku pamięciowego mogą również odznaczać się ludzie niewykształceni lub po prostu analfabeci. Np. Anglik Baxton czy Murzyn amerykański Fuller do śmierci nie znali ani liter ani cyfr, a liczyli w pamięci bardzo szybko. Przed kilku laty prasa pisała o Borysławie Gadżańskim, jugosłowiańskim chłopcu, który w mig potrafił wykonywać skomplikowane rachunki — a w wieku 11 lat znakomicie miał już opanowaną wyższą matematykę.

Dotychczas nie wiadomo, jakimi sposobami ludzie obdarzeni zdolnościami do pamięciowych rachunków wykonują obliczenia. Próby uzyskania wyjaśnień od nich samych zawsze kończyły się fiaskiem, ponieważ nie umieją powiedzieć na ten temat nic konkretnego. Niektóre ich wypowiedzi były wprost zdumiewające. Słynni przed wojną Francuz Monde i Amerykanin Calbourne twierdzili, że przed ich oczami „wyskakują" długie szeregi cyfr. Całe liczenie miało polegać na prawidłowym ich odczytaniu.

Włoszka Diamondi opowiadała, że każda cyfra ma swój kolor, np. 0-biały, 1-czarny, 2-żółty itd., a wynik ukazuje się jej w postaci pewnych kompozycji kolorystycznych. Oczywiście takie odpowiedzi żadnemu poważnemu uczonemu niczego nie wyjaśniają, a wręcz przysparzają nowych wątpliwości.

STANISŁAW TOMICKI

BYĆ NOWOCZESNYM

„To jest nowoczesny człowiek" – bardzo często używamy takiego określenia, gdy chcemy kogoś pozytywnie ocenić. Ale tak naprawdę co się za tym kryje? Czy nowoczesność odnosi się do poglądów jakie ma człowiek? Jakie są te nowoczesne poglądy? A może nowoczesność wyraża się w sposobie działania: pracy, rozrywki? A może w jednym i drugim? Spróbujmy rozszyfrować to pojęcie.

● Co to znaczy być nowoczesnym? Jakie poglądy, jakie działania świadczą o tym, że ocenisz kogoś jako nowoczesnego człowieka?

● Jaki powinien być stosunek nowoczesnego człowieka do techniki? Czy ważna jest tylko wiedza, czy także pewne umiejętności praktyczne? Czy wystarczy wiedzieć jak działa telewizor, czy trzeba umieć naprawić w nim drobną usterkę? Wiedzieć, dlaczego samochód jedzie – czy mieć prawo jazdy?

● Jak nowoczesny człowiek korzysta z dóbr kultury? Czy nowoczesny to taki, który zna najnowsze książki, filmy, przedstawienia teatralne? A może wystarczy, że chodzi od czasu do czasu do kina i od czasu do czasu przeczyta jakąś książkę? Czy nowoczesny młody człowiek musi się modnie ubierać, musi znać najnowsze przeboje i zespoły młodzieżowe? Jakie są niezbędne atrybuty nowoczesności?

● Czym wyraża się nowoczesność w stosunku do państwa? Co to znaczy być nowoczesnym obywatelem? Wypełniać tylko obowiązki, czy podejmować się więcej niż tego one wymagają? Czym powinna wyrażać się nowoczesność w stosunkach między ludźmi?

● Czy starasz się być nowoczesnym? W czym to się przejawia? Jakie napotykasz trudności? Czy potrafisz je przełamać?

● W jaki sposób twoja organizacja młodzieżowa (drużyna HSPS, koło ZMS lub ZSMW) mogą ci pomóc w osiągnięciu cech, które nazywasz nowoczesnymi? Czy znajdujesz tam doping, wzory, pomoc? Tak – jakie? Nie – dlaczego? Co trzeba zmienić, aby twoja organizacja spełniała taką właśnie rolę? Dlaczego?

Zadaliśmy wam sześć pytań. Nie są one łatwe, ale chyba warto zastanowić się nad nimi i spróbować odpowiedzieć. Nie ukrywamy, że jesteśmy bardzo ciekawi twojego stanowiska. Napisz do nas. Koniecznie!

Czekamy więc na listy, krótkie i długie, przemyślane i z nieuporządkowanymi refleksjami.

Namawiamy do sprowokowania dyskusji na godzinie wychowawczej, na zbiórce zastępu, na radzie drużyny. Opinie z tych dyskusji również przyślijcie do nas.

ROZPOCZYNAMY ECHO-SONDĘ „BYĆ NOWOCZESNYM". Chcemy, żebyś wziął w niej udział razem z młodzieżą, która uczestniczy w dyskusji przed Kongresem Młodzieży Polskiej. Czekamy na twój głos. Na kopercie zaznacz tytuł: „Być nowoczesnym".

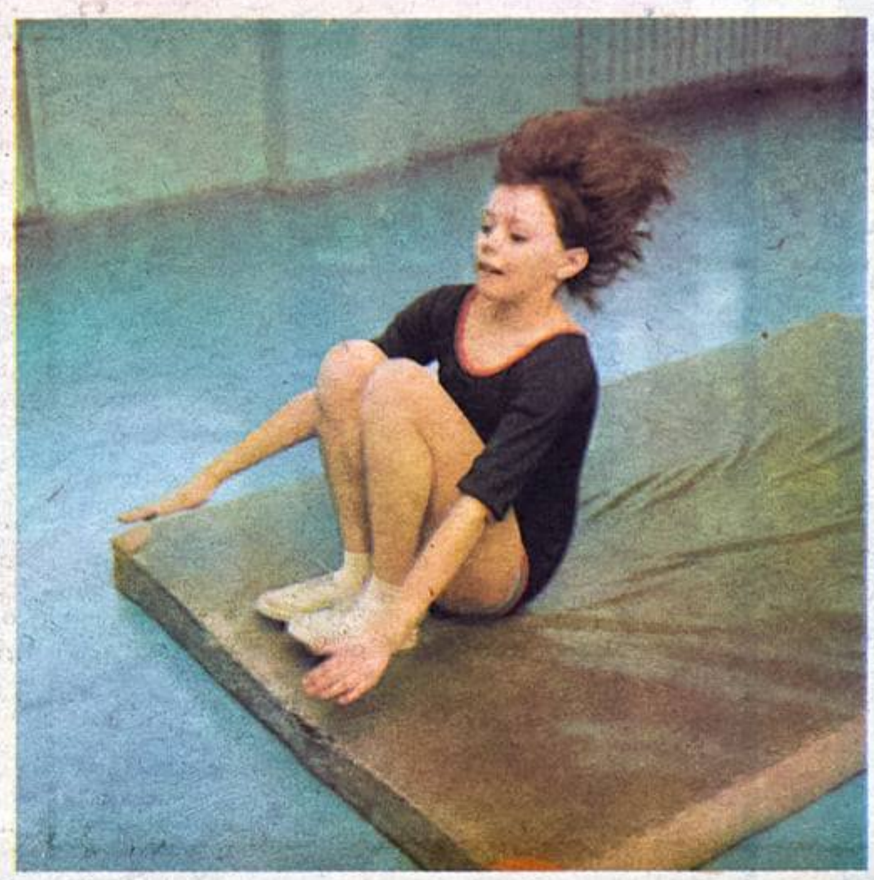

KUŹNIA REKORDZISTÓW

Marzą nam się takie szkoły

Tak na dobre wystartowali już po roku istnienia szkoły, równo pięć lat temu. Frycowego nie płacili. Okazałe trofeum redakcji katowickiego „Sportu" za zajęcie pierwszego miejsca w rozgrywkach pływackich o „Puchar Miast" stoi za szybą gabloty na honorowym miejscu. **Mariusz Gabiec,** dziś już jeden z najlepszych pływaków Polski, „topił" rekord za rekordem. On i jego koledzy byli również bezkonkurencyjni podczas VI Igrzysk Młodzieży. Na stadionach i basenach Łodzi wywalczyli dla swojej szkoły tytuł najbardziej usportowionej. Podobnie zresztą zakończyli start w następnych igrzyskach. Przybyły więc kolejne puchary, od ministra oświaty i wychowania, „Przeglądu Sportowego", kuratorium, władz SZS-AZS... Nie licząc tych zdobytych podczas lokalnych, czy nawet wojewódzkich imprez, trofeami olsztyńskiej SP-4 można by szczodrze obdzielić kilkanaście innych szkół...

Na przykładzie czwórboju

Dyrektor szkoły, pan **Piotr Pyszko,** godzinami może opowiadać o sukcesach swoich uczniów. Zna każdego z osobna, pamięta wszystkie indywidualne i drużynowe sukcesy. Z uzasadnioną dumą wyraża się o systematycznym wzroście umiejętności zawodników. Ta systematyczność jest rzeczywiście zdumiewająca. W roku 1970 czwórboiści szkoły zajęli dopiero IV miejsce w swoim rejonie. Dwanaście miesięcy później byli trzecim zespołem Olsztyna, pierwszym w roku 1973. Następny sezon zakończyli drugą lokatą w województwie. Obecnie, po przekonywającym zwycięstwie w zawodach rejonowych, pilnie przygotowują się do kolejnych eliminacji. Mają ogromne szanse na udział w finale strefowym, a nawet ogólnopolskim. Przecież **Ela Ozimek, Wiesia Przekop** i **Małgosia Niewiadomska** biegają w doskonałych czasach „sześćdziesiątkę", w dal skaczą ponad 5 m! Jeżeli poprawią się w rzutach pileczką, które są ich „achillesową piętą", mogą być groźne dla najlepszych.

Podobnie prezentuje się drużyna chłopców (pięcioklasista **Sławek Zdunek** pokonuje poprzeczkę na wysokości 140 centymetrów), również nie bez szans na udział w krajowym finale. A ten, jak wiadomo, odbędzie się na ich „podwórku", w Olsztynie. Czwórbojowym potęgom z Jaworzna, Elbląga, Wrocławia, Warszawy... przybył nowy i mocny rywal....

Absolwenci i ich następcy

Wspomnieliśmy już o absolwencie szkoły, Mariuszu Gabcu. Na niedawno odbytych w Gdańsku mistrzostwach Polski, ponownie błysnął wielką formą, ustanawiając dwa rekordy kraju. Ale Mariusz ma już swego następcę. Jest nim **Darek Poziemski.** Ten 12-letni uczeń SP-4 z Olsztyna, poprawiał najlepsze krajowe rezultaty, w swojej kategorii wiekowej, aż 23 razy! Wielki talent, wielka nadzieja polskiego pływania na olimpiadę Moskwa – 80.

Z szansami na udział w igrzyskach – i to tych najbliższych, w Montrealu – są także **Jolanta Żurawska, Sabina Sienkiewicz** oraz **Alicja Brzozowska** – czołowe gimnastyczki Polski, byłe uczennice „czwórki", obecnie zawodniczki klubu Stomil Olsztyn. Prawda, że aktualnie trenują już pod okiem specjalistów, ale pierwsze sportowe kroki stawiały na równoważniach SP-4.

Będąc z wizytą w olsztyńskiej szkole, dokładnie przewertowaliśmy karty jej kroniki. Są tam zapisane wszystkie najlepsze wyniki uczniów. Dało się od razu zauważyć, że ani jeden rekord szkoły nie był aktualny dłużej, aniżeli kilka miesięcy. I wszystko wskazuje na to, że tak będzie nadal. Mistrzowie, którzy odchodzą, mogą być spokojni o następców.

Jeszcze jeden zwycięski bój

To będzie wielkie święto. W maju bieżącego roku szkoła otrzyma imię wielkiego polskiego patrioty i olimpijczyka – **Janusza Kusocińskiego.** Trzeba przyznać, że jej uczniowie zasłużyli sobie na takie wyróżnienie. Nie tylko sportowymi wynikami, ale również pracą przy budowie pięknych boisk do lekkiej atletyki, piłki ręcznej, siatkówki i koszykówki, z trybunami na 2,5 tys. miejsc. Mini-memoriały przyszłego patrona, choć biorą w nich udział setki zawodników, rozgrywają na własnych obiektach.

Do tego musimy dodać prawie stuprocentową promocję, w myśl zasady: każdy sportowiec – wzorowym uczniem. Bój o dobre oceny zakończył się zwycięstwem. A to jest ważniejsze od ustanawiania rekordów.

*

Olsztyńskiej „czwórce" marzy się prawdziwa hala sportowa. Mała sala gimnastyczna nie wystarcza na prowadzenie zajęć i treningów przy rozszerzonym wymiarze godzin wf, a zajęcia fizyczne w sportowej szkole nie mogą przecież odbywać się na korytarzu. Dowiedzieliśmy się, że sporządzono i oddano do realizacji pełną dokumentację przyszłej hali. Jest też wykonawca. Tylko jakoś nie widać początków robót. Uczniowie, nauczyciele i dyrekcja „kuźni rekordzistów" są święcie przekonani, że nikt nie zmarnuje ich 5-letniego dorobku.

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

Zdjęcia: M. Szymański

REDAKCYJNA POCZTA

JESZCZE O KODEKSIE

W naszej szkole Kodeks Ucznia nie jest przestrzegany. Pewnej soboty nauczycielka języka rosyjskiego zadała nam pisemną pracę na poniedziałek. Wielu uczniów nie odrobiło lekcji i za to dostali oceny niedostateczne. Przecież Kodeks Ucznia głosi, że z soboty na poniedziałek nie wolno zadawać prac domowych.

Uczniowie klasy VII

Od Redakcji: Uczeń ma prawo być zwolniony od zajęć domowych podczas jednego popołudnia w tygodniu. Czy będzie to sobota, czy jakikolwiek inny dzień, to tylko kwestia ustaleń. Jeżeli więc w Waszej szkole poniedziałek miał być dniem bezdwójkowym, to znaczy, że Wasze prawa zostały istotnie naruszone.

NAPISZCIE DO NAS!

Jesteśmy uczennicami klasy szóstej. Wolny czas spędzamy na zabawach i grach. Ponieważ jest już wiosna, więc chcemy bawić się na powietrzu. Brakuje nam jednak pomysłów na ciekawe gry terenowe. Dlatego prosimy Was o nadsyłanie nam propozycji, które chętnie wykorzystamy.

Małgorzata Daroch

CZUJĘ SIĘ KOPCIUSZKIEM

Codziennie po przyjściu ze szkoły muszę zmywać naczynia, sprzątać, chodzić po zakupy itd. Mam jeszcze dwie siostry, ale one w domu nic nie robią. Ja przecież też jestem człowiekiem i muszę mieć czas na naukę, rozrywki. Jeżeli nie wywiążę się ze wszystkich swoich obowiązków, to rodzice grożą mi wyrzuceniem z domu. Jestem wykończona takimi stosunkami i nie wiem co mam zrobić, aby los był dla mnie łaskawszy..

Jaga

Hanna Romańska (lat 15) pełni funkcję przybocznej ZHP. Interesuje się muzyką młodzieżową i filmem. Szuka przyjaciół.

NIE JESTEM KOCHANA

Czuję się w moim rodzinnym domu jak „piąte koło u wozu". Moi rodzice byliby szczęśliwi jedynie we trójkę — z moim przyrodnim bratem, który jest synem ojczyma. Mama nie mówiła mi o tym, ale wiem, że to prawda. Gdybym o tym wspomniała, to zaraz usłyszałabym, że przecież mam w domu wszystko i nie doceniam starań rodziców. Co z tego, że mam co zjeść i w co się ubrać, skoro nie jestem kochana? Wszystkiemu jestem winna, nawet za przewinienia brata ja odpowiadam. Redakcjo, pomóż mi, bo jestem bliska załamania.

Anna G.

Od Redakcji: Jak możemy Ci, Aniu, pomóc, skoro nie podałaś swojego adresu? Dyskrecję zapewniamy.

ODPOWIEDŹ NA INTERWENCJĘ

Od Redakcji: W 20 nr „SM" z 14 lutego br. zamieściliśmy list ucznia z Twardowic dojeżdżającego do szkoły w Będzinie spóźniającymi się autobusami. Od dyrektora d/s eksploatacyjnych Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego w Katowicach otrzymaliśmy odpowiedź, którą poniżej (w skrócie) drukujemy:

„Uprzejmie wyjaśniamy, że zakłócenia, jakie występowały w kursowaniu autobusów do Będzina, były wywołane trudnymi warunkami drogowymi. Dyspozytorów winnych niewłaściwego potraktowania waszego czytelnika pouczono i przypomniano im o obowiązku zachowania właściwych form i wydawaniu pisemnych zaświadczeń w przypadkach zakłóceń w kursowaniu autobusów.".

Zadanie nr...

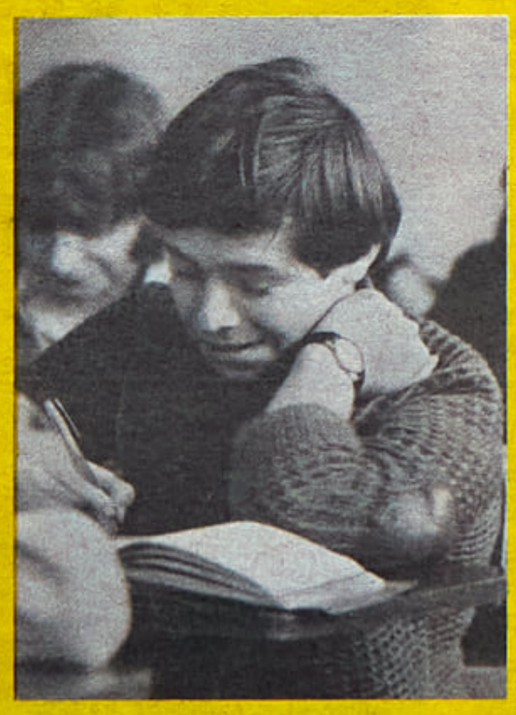

Zdjęcia: K. Adamowski

CZYTAMY – POLECAMY

Wielcy, o których nie zapomniano

„Moim zamiarem było tylko przypomnienie, niektórych zapomnianych, a także mniej znanych dziedzin działalności niektórych sławnych, ukazując ich często poza obrębem pracowni, niejako nawet w oderwaniu od swoich dzieł, które przyniosły im sławę, a przynajmniej długotrwałą pamięć" — pisze Tadeusz Rojek we wstępie do swojej książki pt. „Sławni i nieznani".

Sądzę, że ta niepodręcznikowa forma popularyzowania wiedzy o ludziach nauki i techniki: lekarzach, matematykach, astrologach, fizykach, chemikach i inżynierach przypadnie Wam do gustu. Autor prezentuje 29 zasłużonych dla rozwoju cywilizacji ludzi. Przedstawia ich w układzie chronologicznym, począwszy od XIII wieku a kończąc na XX. Można się z tej książki dowiedzieć wielu interesujących informacji np., że to Polaka — Kazimierza Prószyńskiego nazywano „Kolumbem kinematografii". Jeszcze przed opatentowaniem wynalazku braci Lumiere skonstruował on jeden z pierwszych tego typu aparatów tzw. pleograf. Na końcu książka opatrzona jest w przypisy z encyklopedycznymi informacjami o życiu i dziełach wszystkich twórców.

★

Rojek Tadeusz. „Sławni i nieznani". Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia". Warszawa 1975, str. 445, cena 42 zł.

Autentyzm pilnie poszukiwany?

MIĘDZY ARENĄ A SREBRNYM EKRANEM

Sztuka cyrkowa od pewnego czasu ma podejrzaną reputację, a spektakle rozgrywające się na arenie uważane są przez wielu za coś gorszego od innych widowisk. Wytworzyła się nawet opinia – i to dość powszechnie uznawana – iż istnieje rzeczywista skala wartości absolutnej widowisk rozrywkowych.

Na pierwszym miejscu wymienia się więc zwykłe koncerty muzyki poważnej (jest to również rozrywka, tyle że innego typu!), a potem następują w kolejności: widowisko operowe, pantomima, dramat, film, różnego rodzaju składanki estradowe a na samym końcu cyrk.

Ow „przesąd cyrkowy" – bo inaczej tego nazwać nie sposób – niesłychanie głęboko zakorzeniony jest w naszej świadomości. Świadczy o tym choćby fakt, iż wybitni artyści teatru i filmu, muzycy, mimowie czy tancerze – nie mówiąc już o piosenkarzach – znani są powszechnie, natomiast ludzie areny, nawet najwięksi, pozostają ciągle w cieniu. Nikt z nimi nie przeprowadza wywiadów, ich zdjęcia nie ukazują się w prasie, nikogo nie obchodzi co myślą, jak żyją, jakie mają plany artystyczne. Bardzo często – trzeba to powiedzieć bez osłonek – odmawia się im miana artystów.

Jest jeszcze jedna sprawa ze sztuką widowiskową związana, która mnie zawsze niepokoiła. Dotyczy ona oceny jej poziomu artystycznego. Otóż w cyrku jest to stosunkowo łatwe. Upraszczając nieco: jeśli nieudolnemu magikowi wypadnie z rękawa w czasie występu talia kart – wszyscy to widzą i jednoznacznie oceniają. Ewolucje muszą się więc udawać, zwierzęta być posłuszne, a za nieudane salto na trapezie bujającym pod kopułą płaci się – i to przy dużej dozie szczęścia – zdrowiem. Niczego tu nie można zelgać, wszystko jest widoczne. I to zresztą stanowi m. in. ów magnes przyciągający tłumy.

Natomiast inne dyscypliny artystyczne stwarzają niesłychane wprost możliwości zupełnie dowolnej oceny, zależnie od punktu widzenia jaki reprezentuje krytyk. Przykładem może być choćby ostatni Konkurs Chopinowski – nasza świętość narodowa – po zakończeniu którego zaciekle dyskutowano nad rozdziałem nagród – od drugiej w dół – uważając, iż jury rozdzieliło je zupełnie bez sensu.

Bywa tak, że oceny dotyczące poziomu określonego spektaklu wykluczają się wzajemnie i nie zawsze wiadomo, czy ma się do czynienia z dziełem genialnym, czy też z podejrzanym kiczem. Ale tak się jakoś składa, że im owa rozbieżność ocen większa – tym wyższą zajmuje sztuka pozycję we wspomnianej na początku hierarchii.

Autentyzm cyrku

...oto co mnie zawsze urzekało. I to nie olśniewające mistrzostwo bezbłędnie realizowanych kolejnych punktów programu, ale właśnie owe większe, lub mniejsze nieprzewidziane wpadki, niezręczności i potknięcia. One to bowiem jak papierek lakmusowy odkrywają często, z kim ma się do czynienia.

Byłem pewnego razu na programie, w czasie którego młoda wolterka dwa razy próbowała skoku na galopującego wokół areny konia i za każdym razem kończyło się to bolesnym upadkiem. Pech, chwilowy brak formy, złe obliczenie punktu wybicia się – nie wiadomo co było tego powodem, ale faktem jest, że gdy wstawała po raz drugi ze stratowanych końskimi kopytami trocin, myśleliśmy chyba wszyscy to samo: daj spokój dziewczyno, zrezygnuj, wierzymy ci na słowo, że potrafisz... Ale równocześnie gdzieś głęboko w każdym z nas tkwiło rozczarowanie i jak gdyby pretensja, że ktoś próbuje nas nabrać...

Za trzecim razem dziewczyna już się nie uśmiechała jak poprzednio. Skoczyła z zaciśniętymi zębami i determinacją w oczach. Byliśmy świadkami prawdziwego, niefałszowanego dramatu, jakiego próżno szukać w teatrze czy filmie. Niczego tu nie udawano, ani nie próbowano tłumaczyć, człowiek na oczach setek ludzi musiał po raz trzeci zmobilizować wszystkie swe siły i umiejętności, opanować drżenie mięśni, narastającą złość na samego siebie, zdenerwowanie i upokorzenie.

I za trzecim razem udało się. Takiego huraganu spontanicznych braw jak wtedy nie słyszałem chyba nigdy ani przedtem, ani potem. Nie umilkły one jeszcze długo po tym, gdy bohaterka wieczoru, kulejąc już w sposób widoczny, wybiegła za czerwono-złotą kurtynę oddzielającą arenę od zaplecza i nie pokazała się więcej. Jestem pewien, że ogromna, przytłaczająca liczba widzów zapamiętała na długo, niektórzy być może na całe życie – tak jak ja – to właśnie przedstawienie w skromnym, objeżdżającym małe miasteczka cyrku.

Playback, czyli cud mniemany

Takie i podobne refleksje przychodzą zwykle na myśl w czasie oglądania w telewizji, po raz któryś z rzędu, podstarzałego piosenkarza lub piosenkarki o przebrzmiałej sławie, niemrawo i bez przekonania próbujących zgrać jakoś ruchy ust z dźwiękiem zarejestrowanym niewiadomo przed ilu laty i puszczanym z taśmy. Nazywa się to mądrze playback, a jest najzwyklejszym oszustwem, gdyż ma sprawić wrażenie, jakoby czas oszczędzał głos artystów, natomiast hulał bezkarnie wyłącznie po ich fizjonomiach.

Następnym krokiem w tym kierunku będą jak sądzę żądania piosenkarzy i piosenkarek, aby jako ilustrację do piosenki pokazywać sztucznie ożywiony manekin artysty odrobiony na podstawie jego zdjęć z okresu młodości. Skoro bowiem głos i interpretacja się nie zmieniają, to jakże dopuścić świętokradczą myśl, że może się zmieniać wygląd? Jeszcze mogłoby się okazać, iż artysta posiwiał lub zapuścił wąsik, a artystka – o nieba! – utyła. Najgorsze, iż występy w TV przy użyciu playbacku wyparły prawie zupełnie piosenki śpiewane i rejestrowane „na żywo". Dotyczy to wszystkich parających się śpiewaniem, nawet tych będących aktualnie w dobrej formie...

• • •

Oto dwa rodzaje spektakli rozrywkowych. W pierwszym więź między artystą, a widzem jest nadal bardzo mocna – lecz ten rodzaj sztuki znajduje się chyba w odwrocie. W drugim technika wciskająca się między odbiorcę i nadawcę ze swymi sztuczkami – pozornie zbliża, lecz w rzeczywistości oddala ich od siebie. Upowszechniając – spłyca, doskonaląc – sprawia, iż przeżywamy ją coraz mniej intensywnie...

Czyżby oznaczało to, że nadchodzą czasy w których imitacja w sztuce będzie coraz powszechniej wypierać autentyzm?

JERZY DĄBROWSKI

Zdjęcia pochodzą z albumu Jana Styczyńskiego pt. „Ludzie areny"

Tomasz Mędrzak pisze z Sudanu:

WESTERN po afrykańsku

Kiedy znalazłem się na głównej ulicy Motty, wydawało mi się, że już kiedyś tu byłem. Stałem obwieszony sprzętem fotograficznym i zastanawiałem się, skąd ja to miasto znam. Zacząłem swoją wędrówkę i liczyłem, że wkrótce wszystko się wyjaśni. Kolorowe jednopiętrowe domki urzekały mnie swą architekturą. Na balkonach siedziały jakieś panie, popijając coca-colę. Ulica, którą szedłem, a właściwie, której przyglądałem się tak uważnie, zasypana była przeróżnymi reklamami. Każdy, nawet najmniejszy sklepik, miał swój olbrzymi szyld. Ludzi było mało, głównie właściciele sklepów czekający na klienta, młodzi chłopcy, sprzedający gumę do żucia i lemoniadę, kobiety robiące codzienne zakupy i grupki mężczyzn, siedzących na schodkach i leniwie patrzących na wszystko, co ich otacza. Od czasu do czasu przejechał ktoś konno, zostawiając za sobą tumany kurzu, unoszącego się spod kopyt koni.

Próbowałem fotografować tych ludzi, ale oni raczej nie godzili się na to. A w ogóle czułem, że nie są zadowoleni z mego pobytu w tym mieście. Coraz bardziej więc zaintrygowany szedłem dalej ulicą wśród ciszy i dziwnego spokoju.

Nagle zobaczyłem daleko pierwsze skrzyżowanie. Miałem nadzieję, że tam właśnie znajdę jakieś życie, centrum i to, co w nim najważniejsze. Przyspieszyłem kroku. Nie myliłem się. Oczekiwania się spełniły. Zobaczyłem wspaniały widok. Na czterech rogach najważniejsze punkty w mieście: fryzjer, poczta, bank, wokół którego krążyli faceci w kapeluszach, spuszczonych na oczy, i salon, skupiający najciekawszych (dla mnie) mieszkańców miasta.

O robieniu zdjęć nie było mowy. Mogłem tylko patrzeć i być obserwowany. Czułem, że nie spuszczają mnie z oka. Z „Saloonu" dochodziła wesoła muzyczka, ale nie chciało mi się śmiać. Wiedziałem, że jestem obcy.

W pewnym momencie usłyszałem przeraźliwy krzyk, muzyka się urwała. Wszyscy wstali i patrzyli w stronę schodów prowadzących do „Saloonu". I nagle przez bujające się drzwi wypadł człowiek, za którym natychmiast wybiegła jakaś ciemna dziewczyna, ubrana w długą suknię z kokardą pod szyją. Po chwili włączono znów muzykę i życie wróciło do normy. I wtedy wszystko stało się dla mnie jasne. Już wiedziałem, że takie miasto i takich ludzi znam z westernów, ale nie przypuszczałem, że naprawdę zobaczę kiedyś własnymi oczami podobnych ludzi i podobne obyczaje w sercu Afryki, w Sudanie.

Oto, co znaczy siła filmu i marzenia o lepszym życiu. Amerykańskie westerny, wyświetlane tu prawie wyłącznie, były jedyną informacją o życiu białych. Tak też widzieli je mieszkańcy Motty i... odtwarzali świat z filmów, wierząc, że tak naprawdę żyje się dziś za Oceanem.

Zdjęcia **autora**

PRASKIE METRO

CZECHOSŁOWACJA (CAF). W maju 1974 roku przekazano do eksploatacji pierwszy odcinek praskiego metra. Trasa liczy 6,6 km i posiada 9 stacji. W roku 1980 jej długość będzie wynosiła 25 km z 23 stacjami. Metro rozwiąże wiele problemów komunikacyjnych, trudnych z uwagi na starą architekturę Pragi. Komunikacja miejska stanie się szybsza i bezpieczniejsza (kurs tramwaju trwa 45 minut, metra na tej samej trasie — 13). W centrum dyspozycyjnym metra zainstalowano aparaturę rejestrująco-badawczą, precyzyjne elektroniczne urządzenia i systemy zabezpieczenia ruchu oraz telewizję przemysłową, przenoszącą obrazy z peronów. Budowa metra poprzedzona była wieloletnimi badaniami naukowców i konsultacjami ze specjalistami ze Związku Radzieckiego i innych krajów. **(ej)**

NA SŁUPIE DŁUGIEMU WYGODNIEJ

NAZYWALI mnie „Długi". Ma się ten metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. W klasie byłem najważniejszy. Musieli uważać, nikt nie śmiał do mnie podskoczyć! No, może raz, dwa razy próbowali, ale zawsze wychodziłem z tych pojedynków zwycięsko. Od czasu do czasu odwiedzał mnie dzielnicowy, żeby sprawdzić czy nie mam nic wspólnego z rozróbkami, które zdarzały się na naszej ulicy. Nie powiem, żebym w tym nie brał udziału, ale wtedy byłem jeszcze smarkaczem.

Po podstawówce poszedłem do zawodowej. Uczyłem się na tokarza. Chyba powinienem powiedzieć, że chcieli nauczyć mnie tokarstwa, a ja bardzo tego nie chciałem. To niewygodny zawód dla wysokich. Ciągle trzeba przecież być pochylonym nad maszyną. Nie dla mnie taka robota. Siedziałem całymi dniami w kawiarni. Przychodziła tam cała paka. Zamawialiśmy sześć szklanek i jedną coca-colę. Kelnerka najpierw patrzyła na nas krzywo, ale później już się przyzwyczaiła. Jak tylko wchodziliśmy do lokalu, stawiała colę, szklanki i... włączała magnetofon. Od piosenek Stępowskiego i Kunickiej robiło nam się niedobrze.

Później przynosiliśmy własny kasetowiec, ale inni protestowali, że za głośno gramy i daliśmy spokój.

Po dwóch latach takiej „nauki" zostałem na lodzie. Wywalili mnie ze szkoły. Uczyłem się jako tako, miałem tylko za dużo nieobecności, a poza tym zmieszałem z błotem nauczyciela. Była draka na czternaście fajerek. Dyrektor krzyczał, groził milicją. A co ja miałem zrobić, jak „Aksamit" podrażnił moją dumę osobistą i zrobił ze mnie balona przy wszystkich kumplach. Nie wytrzymałem i wyraziłem się troszkę niecenzuralnie. Rodzina była zdziwiona, bo zawsze uważali, że jestem niespotykanie spokojny człowiek. Matka rozpaczała, że wstyd wszystkim przynoszę, i po znajomości szukała dla mnie miejsca w innej szkole.

A ja wszystkim zrobiłem siup. Spakowałem manatki i pojechałem do Szczecina do OHP. Nikt nie wiedział po co ja się tam wybieram. Matka próbowała mnie zatrzymać. Była święcie przekonana, że OHP to dla najgorszych. W jej wyobrażeniach byłem bardzo zdolnym i pracowitym człowiekiem, którego czeka błyskotliwa kariera. Ledwie przeżyła to, że poszedłem do zawodówki, a tu nowy cios – OHP.

Łatwo na początku nie było. O szóstej rano trzeba być w pracy. Po południu i wieczorem nauka. W soboty i niedziele służba wojskowa. Gdybym się chciał wszystkim przejmować, to chyba bym zwariował. Ale życie w „ohapie" miało swoje uroki.

Mieszkam z dwoma fajnymi kumplami. Trenujemy kulturystykę. Ćwiczyć wolno tylko w sali gimnastycznej, ale kilka razy udało nam się ciężarki przenieść do pokoju. Wychowawca skądś się o tym dowiedział. Potem wyjaśniło się – skąd. Jak stawialiśmy sztangę na podłodze, to w pokoju niżej leciał tynk z sufitu. Co zrobił? Nie zabrał nam sztangi. Kazał tylko ostrożnie stawiać ją na podłodze i podkładać koc.

Wychowawcy są tu zupełnie inni, niż nauczyciele w zawodówce. Wyobrażam sobie, jaką drakę zrobiłby „Aksamit", gdyby to on odkrył, że ćwiczymy w pokoju. Tamci mieli zawsze rację. Nigdy nie można było im nic powiedzieć, bo zaraz rozpoczynało się kazanie, że szczeniaki nie będą dorosłym zwracać uwagi. Tu jest inaczej. Wysłuchają i jeszcze chce im się podyskutować. Niektórzy mówią do nas: proszę pana. Nieraz dla świętego spokoju pozwolą na coś, co oficjalnie jest zabronione, ale wiadomo, że później musimy się rewanżować. I jak trzeba posprzątać teren wokół internatu – człowiek nie może odmówić.

Nauka idzie mi dobrze. Będę elektromonterem. To fajna praca, bo nie trzeba się zginać w pałąk. Leżę wyprostowany jak drut, a i na słupie długiemu jest wygodnie.

Podobno dlatego, że jestem dobrym junakiem noszę sztandar hufca. Ja przypuszczam, że wybrali mnie ze względu na mój wzrost. Ładnie wygląda, jak taki dryblas niesie sztandar. Głośno mówię, że mi na tym nie zależy, ale tak naprawdę... Kumple mi zazdroszczą. Pierwszy raz nie tylko wzrostu.

Raz to miałem fart. Komendant kazał wziąć sztandar i pojechać do filharmonii na akademię. Ubrałem mundur, wziąłem pakę pod pachę i jadę. Wchodzę i... skamieniałem. Na sali sami milicjanci (oficerowie) i ormowcy. Kilka razy miałem do czynienia z władzą i troszkę strachu jeszcze od tamtego czasu zostało. Okazało się, że była to akademia z okazji 30-rocznicy powstania ORMO. Przez całą część oficjalną stałem na baczność i nawet okiem nie mrugnąłem. Potem dowiedziałem się, że poczet sztandarowy hufca wyróżniał się na korzyść. To był prawdziwy komplement.

Jak tak opowiadam, to wynika, że zmieniłem się prawie na aniołka. Tak dobrze to nie jest. Nie lubię rano wstawać. Moi koledzy z pokoju też. Zamiast na szóstą przychodzimy do roboty o siódmej, ósmej. Najczęściej nikt tego nie zauważa. Po przyjściu do pracy idziemy do łaźni, żeby popalić, a jak się komuś jeszcze chce spać, to z godzinkę może pokimać. Majster kilka razy nas nakrył. Zdziwił się: „To wy tu śpicie" – i poszedł sobie. Pracujemy na dniówkę, więc nam nie zależy, a jak im też nie, to po co mamy się przemęczać? Tylko wychowawca chce, żebyśmy pracowali, ale on nie jest codziennie w robocie. Jak wiemy, że przyjdzie to punktualnie o szóstej przekraczamy bramę zakładu. Nie dlatego, żebyśmy się go bali, ale po co mu robić przykrość. Żeby on był naszym majstrem, to taksówką jeździlibyśmy do pracy, żeby być na czas.

Takie leserowanie jest nudne. Dzień, dwa można nic nie robić, ale tydzień!

Teraz jadę na trzy dni do domu. Nie wiedzą, że przyjadę. Mama będzie zachwycona. Już się przekonała, że dobrze zrobiłem zapisując się do OHP. Fach będę miał, zarabiam pieniądze, rodzina ma lżej, bo nic na mnie nie wydaje, w dodatku odbywam jednocześnie zasadniczą służbę wojskową.

Aha, wszyscy są ze mnie dumni, bo pokazywali mnie w telewizji. Wprawdzie przez przypadek, ale zawsze to się liczy. Ciekawe, jak ja się teraz kumplom z Warszawy na oczy pokażę. Będą wytykać mnie palcami: to ten, co był w telewizji. A gdyby się jeszcze dowiedzieli, że sztandar noszę...

Notował: KAZIMIERZ PASEK

Małgorzata Braunek — zadebiutowała w 1968 roku w filmie „Żywot Mateusza". W „Potopie" kreowała Oleńkę.

GWIAZDOZBIÓR

Album aktorów

Dziś prawdziwy gwiazdozbiór! Okazja dla wszystkich, którzy mają luki w swoich zbiorach. Na zdjęciach znakomici aktorzy, o których wprawdzie już pisaliśmy, ale których nazwiska wciąż powtarzają się w Waszych listach.

Przy okazji zawiadamiamy najbardziej zainteresowanych, że Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe wydały „Album aktorów polskiego filmu i telewizji" Konrada Eberharda. Znajdziecie w nim zdjęcia i wyczerpujące informacje o 62 polskich aktorach. Album jest wprawdzie zbyt drogi, jak na uczniowskie kieszenie, kosztuje bowiem aż 115 zł, ale na pewno powinien znaleźć się w szkolnych bibliotekach.

A u nas, jak zwykle co wtorek, znajdziecie za 1 złoty i 50 groszy, zdjęcia aktorów do swoich prywatnych albumów, wywiady i najnowsze wiadomości o nich. (eb)

Zdjęcia: **R. Pajchel, R. Pieńkowski J. Troszczyński**

Ewa Żukowska — zadebiutowała w 1966 roku w filmie „Piękło i niebo". Często występuje w serialach TV. Jest w zespole Teatru Narodowego.

Stanisław Mikulski — zadebiutował w 1951 roku rolą Franka w filmie „Pierwszy start". Był królem Stasiem w „Zaczarowanym podwórku", no i kapitanem Klossem w serialu TV „Stawka większa niż życie".

Marek Perepeczko — zadebiutował w 1965 roku rolą zbójcy w filmie „Popioły". Jako Janosik w serialu TV stał się ulubieńcem młodzieży.

Władysław Kowalski — zadebiutował w 1957 roku w filmie „Kanał". W serialu TV „SOS" grał Rafała.

Ocknęłam się przedwczoraj w poczuciu kompletnego bankructwa. Mam oczywiście w tym momencie na myśli nie żadne tam sprawy filozoficzno-moralne, ale najzwyklejsze pod słońcem bankructwo finansowe. Tak, tak, tu się nie ma z czego śmiać, chociaż... może i brzmi to nieco śmiesznie. Ale fakt jest faktem!

Powodem mojego niezbyt sympatycznego ocknięcia się była sympatyczna skądinąd uroczystość, czyli szesnaste urodziny Hanki, które wypadają dokładnie za dni od dzisiaj cztery. Postanowiłam sprezentować jej godziwy w stosunku do rangi obchodzonego jubileuszu upominek, czyli taką jedną bardzo fajną kosmetyczkę w kwiatki. Cena – czterdzieści dwa złote. Niby niewiele, ale trzeba tę forsę mieć. I ja, okazało się, nie mam. A przecież powinnam mieć.

Usiadłam sobie i zaczęłam obliczać uzyskane przez siebie w tym roku kalendarzowym dochody. Więc po pierwsze, cztery moje miesięczne „pensje", ostatnia niecały tydzień temu; po drugie – najmłodszy brat taty sprezentował mi z okazji Dnia Kobiet prezent w postaci banknotów; po trzecie – sama zarobiłam co nieco, chociażby na makulaturze. W sumie doliczyłam się kilkuset złotych. Sama zdziwiłam się, że było tego aż tak wiele, ale tak rzeczywiście było, w rachunkach byka nie zrobiłam.

Potem zaczęłam liczyć swoje w tym samym czasie wydatki. Największym była para rajstop za siedem dych, trzy razy byłam na własny rachunek w kinie – raz był film panoramiczny, z okazji Dnia Kobiet wydałam około sześćdziesięciu złotych, zeszytów, ołówków, gumek itp. zakupiłam za sumę złotych szesnastu. I... to byłoby właściwie wszystko. Wszystko, co pamiętam, ale pamiętam wszystkie ważniejsze wydatki. Reszta to były rzeczy mniej ważne – pojedyncze ciastka, guma do żucia...

Gdy liczyłam przedwczoraj swoje kapitały, aby zorientować się, czy prócz kosmetyczki stać mnie będzie jeszcze na kwiatek dla Hanki okazało się, że... jestem posiadaczką złotych dwudziestu czterech, groszy pięćdziesięciu. I ani grosika więcej, ani nawet pół grosika!

Taaak, pojęcia nie mam co zrobię. Naprawdę strasznie chciałabym Hance tę kosmetyczkę podarować, ale w tej sytuacji jest to niemożliwe. Nie mogę poprosić mamy o pieniądze, nawet o pożyczkę nie mogę jej poprosić, bo co powiem – że przehulałam, sama nie wiem gdzie, kiedy i na co tyle pieniędzy?! Jedyne co mi pozostaje, to – ogłosić bankructwo, co niniejszym czynię. Tylko... czy to jest wyjście?!

MAGDA

ŚMIESZNA SPRAWA CZYLI wolny fotel PATRONA

RÓŻNE są problemy i różny też posiadają wymiar. List, który wraz z wieloma innymi nadszedł tego dnia do redakcji, sygnalizował istnienie problemu pozornie błahego – ot, nie chciało się komuś „ruszyć głową", to i pisze! Później dopiero okazało się, że w gruncie rzeczy, to wcale nie taka błaha sprawa.

Ale zacznijmy od początku. Uczniowie pewnej szkoły podstawowej w wojewódzkim, przemysłowym mieście nadsyłają błagalną prośbę, aby redakcja wymyśliła im... bohatera szkoły. Tak, właśnie bohatera! Szkoła bowiem obchodzić będzie wkrótce X-lecie swego istnienia. Przewidziane jest wręczenie sztandaru, jubileuszowe obchody, przyjęcie imienia oraz cała moc innych uroczystości. Z pompą i fanfarami! Każda z klas otrzymała polecenie wysunięcia propozycji kandydata na bohatera. 30 głów w VII „a" wytężyło mózgi. Kierowano się takim rozumowaniem: bohater szkoły, to musi być ktoś wielki, sławny, o wzniosłych myślach a również szlachetnych i porywających czynach. Najlepiej z okresu okupacji, bo to czas był dobry, by się wsławiać a i sama epoka heroiczna. No i jeszcze musi być martwy. Czyli nieboszczyk.

Skąd takiego wziąć? Oczywiście najwygodniej sięgnąć do czytanek i podręczników historii. Warunki postawione bohaterowi spełniało kilku kandydatów – Janek Krasicki, Hanka Sawicka, K. K. Baczyński. Walczyli o sprawy wielkie, znajdowali naśladowców, ginęli. Wszystko się zgadza. VII „a" odetchnęła z ulgą, problem z głowy!

Radość trwała jednak krótko. Okazało się, że bohaterowie są... zajęci. Ich imiona przyjęły po prostu wcześniej inne szkoły. I nie zamierzają się z nikim dzielić. Zresztą tak jakoś nieporadnie by było, gdyby w jednym mieście stały dwie szkoły noszące to samo imię.

VII „a" ponownie zabrała się do rozmyślań, a pani bibliotekarka nie mogła nadziwić się częstszym niż zwykle wizytom w czytelni. Najbardziej ucierpiały wówczas takie pozycje jak: Mała Encyklopedia Powszechna i Słownik Pisarzy Polskich. Do pani dyrektor poszła nowa lista przyszłych bohaterów szkoły – Tuwim, Gałczyński, Fredro, Konopnicka, Batalion „Zośka", Szare Szeregi. Odetchnęli.

Krótki był to jednak oddech ulgi. Na Batalion „Zośka" i Szare Szeregi nie zgodziło się kuratorium, twierdząc, że szkoła powinna mieć bohatera indywidualnego. Gałczyński był za mało znany wśród uczniów a Tuwim, Fredro i Konopnicka też już zajęci.

Opadły im ręce. Czytelniana wiedza była wyczerpana. Jedyna nadzieja w redakcjach pism młodzieżowych. Skrupulatnie wypisano adresy. Pełne rozpaczy listy poszły w Polskę – „Redakcjo, wymyśl nam bohatera!"

★

Spotkałem się z nimi. Mają po 13 lat, dużo fajnych pomysłów i zapału. Ich klasa i drużyna zarazem należą do najlepszych w szkole. Znani są w całym mieście z tego, że stworzyli teatr pantomimy. Sami na to wpadli i pod opieką jednego z nauczycieli ułożyli całkiem dobry program. Na różnych konkursach z łatwością zdobywali główne nagrody.

Moja wizyta u nich biegła nierówno. Przywitano mnie entuzjastycznie, a pierwsze pytanie jakie usłyszałem, to – jakiego bohatera będzie miała ich szkoła? Później, gdy oświadczyłem, że nie przywiozłem gotowego rozwiązania, dostrzegłem rozczarowanie na ich twarzach. Ktoś nawet szepnął: „To po co on w ogóle przyjechał?".

Długo rozmawialiśmy. Stopniowo topniały lody. Mówiliśmy o różnych bohaterach, o różnych rodzajach bohaterstwa, a także o schematach paraliżujących nasz sposób myślenia. O tym, że czasami zupełnie sensowny człowiek, który na co dzień jest w swoim działaniu odkrywczy, a jego pomysły świeże, wpada w idiotyczną koleinę sztampy. Np. szukając tego, co dla niego ma być ważne, przegląda zdjęcia we wszystkich możliwych encyklopediach, studiując uważnie zamieszczone obok noty biograficzne, aby przynajmniej wiedzieć kim on jest i czy pasuje do pustych ram szkolnego patrona. Sięgnąć zaś bliżej – do okolicy, do historii własnego miasta, jego przemysłu, kultury?! Oh, przecież nikt tak nie robi! W każdym razie – prawie nikt, a naśladować zwykło się przecież większość!

W końcu chyba się zrozumieliśmy. Jednak, gdy już odchodziłem, widziałem w ich oczach żal zawodu, że jednak nie podsunąłem im jakiegoś konkretnego nazwiska. Na moment przyszła mi wtedy do głowy przekorna myśl, by może podać im nazwisko... swoje. Już widziałem odlane z brązu swoje popiersie na szkolnym korytarzu, gdy uprzytomniłem sobie, że przede wszystkim nie spełniam warunku ostatniego. Jeszcze żyję! Choć co prawda lekarz ostatnio przestrzegał mnie przed nagłymi wzruszeniami...

WŁODZIMIERZ SŁOWIŃSKI

STEWARDESSA

Osmoklasistki, które zwracają się w listach do redakcji z prośbą o wskazówki, jak zdobyć ten „podniebny" zawód informujemy: **Nie ma szkół kształcących stewardessy!**

Co pewien czas Polskie Linie Lotnicze „LOT" organizują kursy, o których informuje prasa. Kandydatki (i kandydaci, bo mężczyźni też są potrzebni) muszą mieć maturę, znać co najmniej dwa języki obce — angielski, niemiecki, francuski lub rosyjski, muszą być zdrowe i silne, mieć zgrabną sylwetkę i miły wygląd; wzrost minimum 160 cm. Oprócz życzliwego stosunku do ludzi i pogodnego usposobienia jest jeszcze jeden warunek! Jest nim stałe zameldowanie w Warszawie lub najbliższych okolicach.

Na kilkumiesięcznym kursie, prowadzone są wykłady z dziedziny psychologii, ekonomiki transportu powietrznego i budowy samolotów, a także zajęcia uczące przygotowywania posiłków i udzielania pierwszej pomocy. Po ukończeniu kursu stewardessy odbywają praktykę w portach lotniczych przy odprawie pasażerów. Stewardessa wkładająca mundur musi wraz z nim przybrać pogodny uśmiech. Praca na pokładzie samolotu, z pozoru bardzo atrakcyjna, w zasadzie jest dość jednostajna. Polega głównie na estetycznym podawaniu posiłków i napojów, roznoszeniu pasażerom gazet, okrywaniu ich kocami, podawaniu informacji o odbywanym locie itp. Czasami jest to pomoc w niańczeniu kapryśnych dzieci...

Dziewczęta marzą o tym zawodzie głównie ze względu na loty do różnych krajów. Faktem jest, że stewardessy znają cudzoziemskie porty lotnicze. Jednak na zwiedzanie miast rzadko pozwala rozkład lotów.

Stewardessy pracują na pokładach samolotów, dopóki trwa młodość. Potem znów „schodzą na ziemię" i pracują w biurach linii lotniczych czy innych instytucjach. **(ag)**

13 lat temu, 12 kwietnia 1961 roku, cały świat wpisał do swego kalendarza nową, ważną datę historyczną — lot pierwszego człowieka w kosmos. Niespełna dwugodzinna wyprawa 27-letniego majora lotnictwa radzieckiego, Jurija Gagarina, otworzyła nowy rozdział w dążeniach człowieka do poznania tajemnic bezkresnego wszechświata. Był to lot na wysokości od 181 do 327 km od powierzchni Ziemi, w kabinie statku „Wostok", ważącego 4725 kg.

Dzisiejszy TOMIK w całości poświęcamy temu ważnemu wydarzeniu.

Prezes TOMIKA

ST. BOROWIECKI

12 kwietnia — święto kosmonautyki

POCZĄTKI ery kosmicznej

Sygnały „bip-bip" nadawane z burty pierwszego radzieckiego sputnika, 4 października 1957 r. oznajmiły o wkroczeniu człowieka w erę kosmiczną. Tamten pierwszy lot przyniósł też nieocenione informacje o kosmosie i wierzchnich warstwach ziemskiej atmosfery. Przetarł on niejako szlak prowadzący na inne planety.

Drugi sputnik radziecki zabrał już ze sobą żywego pasażera, który przeszedł do historii podboju kosmosu. Był nim pies imieniem Łajka.

Pierwszy, drugi i trzeci sputnik radziecki miał za zadanie sprawdzić możliwości utrzymywania stałej łączności aparatu kosmicznego z Ziemią, o możliwości kierowania tym aparatem, przekazywaniu mu i odbieraniu od niego różnych informacji. Pierwsze trzy loty upewniły uczonych o możliwości wysłania człowieka w kosmos i sprowadzenia go z powrotem na Ziemię.

Od maja 1960 r. do marca 1961 r. z terytorium Związku Radzieckiego wystrzelono 7 sputników. Każdy z tych aparatów miał za zadanie sprawdzić praktycznie system nawigacji sputnika, urządzenia napędzające, systemy zapewniające człowiekowi w kosmosie optymalne warunki do pracy i życia, aparaturę regulującą temperaturę, klimatyzację powietrza w statku kosmicznym oraz systemy awaryjne.

Lot człowieka w kosmos musiał być poprzedzony szeregiem skomplikowanych badań. Najważniejszą rolę spełniała obustronna łączność. Nie mogła być ona między sputnikiem a Ziemią, ani na moment przerwana. Dlatego też trzeba było skrupulatnie zbadać zachowanie się fal radiowych w kosmosie. Trzeba było też rozwiązać wiele problemów kosmicznej telewizji, za pomocą której chciano utrzymywać łączność ze sputnikiem, kontrolować stan i działalność urządzeń.

Do przygotowań lotu człowieka w przestrzeń pozaziemską włączyli się również lekarze. Powiedzieli uczonym i inżynierom, że muszą mieć pewność, iż w każdej chwili, w dowolnym punkcie lotu sputnika będą mogli „położyć rękę" na pulsie kosmonauty, zmierzyć częstotliwość oddychania, słuchać pracy serca. Należało więc rozwiązać również wiele problemów łączności już nie pomiędzy kosmonautą a Ziemią, lecz między jego organizmem, a uchem i okiem lekarza.

Zarówno uczeni jak i lekarze postawili konstruktorom aparatu kosmicznego jeszcze jeden, najważniejszy warunek — człowiek poleci tylko wówczas — kiedy będzie pewność, że w każdej chwili z powodu obojętnie jakiej awarii silnika sputnika, kosmonauta będzie mógł wrócić cały i zdrowy na Ziemię.

Wiosną 1961 r. przygotowania do lotu człowieka w kosmos były już zakończone. Rankiem 12 kwietnia 1961 r., a więc 15 lat temu, o godz. 8.30 czasu moskiewskiego, Jurij Gagarin znajdował się już w kabinie statku kosmicznego „Wostok". Siergiej Pawłowicz Korolew przyjmował ostatnie meldunki i prowadził rozmowę z pierwszym na świecie kosmonautą:

— „Cedr", ja „Zorza", jak mnie słyszycie?

— Ja „Cedr", słyszę was dobrze. U mnie wszystko w porządku. Samopoczucie dobre. Jestem gotowy do startu. Pozdrawiam.

— W porządku. Klucz na start!

Była to godzina 9.07. Urządzenia informowały o prawidłowej pracy aparatu i właściwym locie. W 45 minut później Jurij Gagarin meldował swoje dobre samopoczucie, normalną pracę systemów i dokładne wypełnianie programu lotu.

Po jednym okrążeniu Ziemi, o godzinie 10.25 statek zszedł z orbity na trajektorię powrotną. W 10 minut później wchodził już w gęste warstwy atmosfery. Po krótkiej, pełnej napięcia chwili znowu były nadawane sygnały — sygnały lądowania. Statek przybliżał się już do Ziemi. W koordynacyjno-obliczeniowym centrum z maksymalną szybkością obliczano miejsce lądowania. Przekazano go służbie poszukiwawczej. Poleciały tam samoloty i helikoptery. Gagarin był znowu na Ziemi. Wylądował w miejscowości Smielowka niedaleko Saratowa.

Takie były początki, które zbulwersowały świat. Człowiek znalazł się po raz pierwszy w kosmosie i wrócił stamtąd.

15 lat minęło od tamtego poranka. Przez ten czas w kosmosie zrobiło się gęsto od różnego rodzaju wehikułów. Odbyły się loty grupowe, przeprowadzono automatyczne spotkanie się statków. Wielodobowe loty stały się rzeczą normalną. Statki kosmiczne zaczęły miękko lądować na powierzchni innych planet. Wystartowały stacje międzyplanetarne w kierunku Wenus, Marsa, Merkurego, Jowisza. W Związku Radzieckim zbudowano sputnikowe systemy łączności — „Mołnia", telewizyjny system „Orbita", wystrzelono sputniki do prognozowania pogody z serii „Meteor", ponad 800 sputników z serii „Kosmos", triumfalny lot „Łuny-16", dostarczenie na Ziemię przez automaty próbek gruntu księżycowego, lot „Łuny-17" z „Łunochodem-1" na pokładzie, który stał się pierwszym pojazdem księżycowym. I na koniec wielkie laboratorium orbitalne „Salut-4", goszczące na swym pokładzie dwie załogi.

Zapewne, tamtego poranka, kiedy Jurij Gagarin znalazł się w przestrzeni pozaziemskiej, nie myślano, że tak szybko człowiek znajdzie się na Księżycu, będzie po nim swobodnie spacerował, prowadził stamtąd rozmowy z ludźmi siedzącymi w laboratorium na Ziemi. Nie przypuszczano też, że tak szybko automaty będą mogły zastąpić ludzi w rejsach kosmicznych, wykonywać za nich badania na odległych planetach.

Jurij Gagarin na krótko przed startem w kosmos.

LISTA PIONIERÓW KOSMOSU — czyli kto w czym był pierwszy

1. — Listę najważniejszych pionierów kosmosu otwiera pierwszy sztuczny satelita Ziemi — „Sputnik-1" (ZSRR), wystany 4.10.1957 roku, kula o masie 83,6 kg. Po nim następują kolejno:

2. — pierwsze żywe stworzenie na orbicie wokółziemskiej — pies Łajka w radzieckim „Sputniku-2", 3.11.1957 r.;

3. — pierwszy amerykański sztuczny satelita „Explorer-1", 31.1. 1958 r.;

4. — pierwsza sztuczna planetoida — „Łunnik-1" (ZSRR), 2.1. 1959 r.; masa 361,3 kg, krąży wokół Słońca;

5. — pierwszy obiekt ziemski na Księżycu — „Łunnik-2" (ZSRR), trafił w Księżyc 13.9.1959 r. i rozbił się;

6. — pierwsze zdjęcia drugiej strony Księżyca — „Łunnik-3" (ZSRR), 4.10.1959;

7. — pierwszy satelita meteorologiczny — „Tiros-1" (USA), 1.4. 1960, fotografował powłokę chmur;

8. — pierwsza udana próba sprowadzenia zasobnika z orbity wokółziemskiej na Ziemię — „Discoverer-13" (USA), masa zasobnika 136 kg, sierpień 1960;

9. — pierwszy powrót istot żywych z orbity wokółziemskiej — psy Białka i Strielka w radzieckim „Sputniku-5" o masie 4,6 tony, powróciły po 24 godzinach lotu 20.8.1960;

10. — pierwszy aparat wysłany ku Wenus — „ASM-2" (ZSRR), masa 643,5 kg, 12.2.1961;

11. — pierwszy kosmiczny lot człowieka — Jurija Gagarina (ZSRR) w „Wostoku-1", 12.4. 1961;

12. — pierwszy kosmiczny lot amerykańskiego astronauty Alana Sheparda w kabinie „Merkury-1", 5.5.1961. Lot trwał 15 minut i 22 sekundy;

13. — pierwszy półużytkowy satelita telekomunikacyjny — „Telstar-1" (USA), w lipcu 1962 i później pośredniczył w przekazywaniu programów telewizyjnych i rozmów telefonicznych przez Atlantyk;

Dokończenie w następnym TOMIKU.

moją nieobecność. Pewnie myślą, że zabłądziłem w lesie i w ten sposób wskazują mi kierunek. Co prawda postanowiliśmy nie strzelać, ale może myślą, że grozi mi niebezpieczeństwo, i dlatego bez wahania dają mi znaki. Trzeba się było spieszyć, by jak najprędzej ich uspokoić.

Byłem zmęczony i wyczerpany, nie mogłem więc iść tak szybko, jak chciałem. Ale w końcu dotarłem na znany sobie teren. Na lewo miałem Bagno Pterodaktyli — a przed sobą Polanę Iguanodonów. Teraz już tylko ostatni pas drzew dzielił mnie od Fortu Challengera. Krzyknąłem wesoło, by uspokoić przyjaciół, ale nikt mi nie odpowiedział. Ta złowróżbna cisza przejęła mnie zgrozą. Puściłem się biegiem. Zobaczyłem zasiekę, taką jak ją zostawiłem, ale z otwartą bramą. Wbiegłem do środka. W białym, chłodnym świetle poranka ujrzałem okropny widok. Cały nasz ekwipunek był rozrzucony, moi towarzysze zniknęli, a na trawie tuż przy dogasających popiołach ogniska ujrzałem ciemną i straszną kałużę krwi.

Ten widok tak mnie przeraził, że straciłem na chwilę przytomność umysłu. Jak przez mgłę, jak zły sen pamiętam, że biegałem po lesie wokół pustego obozowiska, głośno wołając towarzyszy. Ciemny i cichy las nie odpowiadał. Do szaleństwa doprowadzała mnie myśl, że może już nigdy ich nie ujrzę, że zostałem sam jak palec na tej okropnej wyżynie, że może nigdy z niej nie zejdę, i że będę musiał żyć i umrzeć w tym koszmarnym świecie. Gotów byłem rwać włosy z rozpaczy i tłuc głową o drzewa. Dopiero wówczas zdałem sobie sprawę, jak bardzo przyzwyczaiłem się liczyć na spokojną pewność siebie Challengera i mistrzowskie, żartobliwe opanowanie lorda Roxtona. Bez nich czułem się jak dziecko zagubione w ciemności — bezradny i bezsilny. Nie wiedziałem co począć i dokąd pójść.

Ale gdy pierwsze oszołomienie minęło, zabrałem się do badania, jakie to nieszczęście mogło ich spotkać. Nieporządek w obozie wskazywał, że zaatakowano ich niespodzianie, w chwili kiedy usłyszałem wystrzał. Musiano ich zaskoczyć, skoro wystrzelili tylko raz. Sztucery leżały na ziemi, a ulubiona broń lorda Roxtona miała jeden ładunek pusty w komorze. Z nieporządku, w jakim leżały rzucone przy ognisku koce profesora Challengera i Summerlee, wnioskowałem, że obaj spali w czasie napaści. Skrzynie z amunicją i jedzeniem poniewierały się wszędzie razem z naszymi aparatami fotograficznymi i kasetami, ale żadnej nie brakowało. Jednakże cała żywność z otwartych puszek zniknęła, a pamiętam, że było jej sporo. A więc napadu dokonały zwierzęta, nie ludzie, którzy zabraliby wszystko.

Lecz jeżeli to były zwierzęta lub jakiś samotny potwór, co za los spotkał moich przyjaciół? Dzika bestia zabiłaby ich na pewno, a wtedy pozostałyby ich szczątki. Co prawda była tu straszna kałuża krwi, która świadczyła o przemocy. Taki potwór, jaki mnie gonił, porwałby człowieka równie łatwo — jak kot porywa mysz. Lecz wtedy pozostali rzuciliby się za nim w pościg, no i oczywiście zabraliby broń. Im więcej łamałem sobie skołataną i obolałą głowę, tym trudniejsza wydawała mi się ta zagadka. Przeszukałem las w pobliżu, ale nie wpadłem na żaden ślad. Raz nawet zmyliłem drogę i tylko memu szczęściu zawdzięczam, że po godzinie błądzenia znów trafiłem do obozu.

Nagle przyszła mi pewna myśl do głowy i dodała otuchy. Nie byłem zupełnie sam. W dole, u podnóża skał, nie dalej niż głos niesie, czeka wierny Zambo. Poszedłem na skraj urwiska i wyjrzałem zza niego. Rzeczywiście Zambo siedział skulony pod kocami przy ognisku swego małego obozu. Ale ku memu zdziwieniu ktoś drugi przykucnął przed Murzynem. Serce zabiło mi szybciej na myśl, że to może któryś z moich towarzyszy zdołał zejść na dół. Ale nadzieja ta zaraz się rozwiała. W promieniach wstającego słońca twarz przybysza połyskiwała czerwono. To był Indianin. Krzyknąłem głośno i począłem machać chustką. Zambo spojrzał w górę, skinął ręką i podszedł do samotnej skały. Za chwilę stał już niedaleko ode mnie i przygnębiony słuchał mojej opowieści.

— Na pewno diabeł ich porwał, massa Malone — powiedział wreszcie. — Wpadliście w diabelski kraj i szatan ich porwał. Niech pan posłucha mojej rady i zaraz zejdzie, bo i pana porwie.

— Jakże zejdę, Zambo?

— Niech pan zerwie jakąś lianę z drzewa i przerzuci do mnie. Przywiążę ją do pnia i będzie pan miał most.

Myśleliśmy o tym. Ale nie ma tu takich lian, które wytrzymałyby ciężar człowieka.

— Trzeba posłać po liny.

— Kogo poślę i dokąd?

— Do osady Indian. W ich osadzie jest pełno lin ze skór. Indianin siedzi na dole. Jego pan pośle.

— Kto to jest?

— Jeden z naszych Indian. Inni go pobili i odebrali mu pieniądze. Wrócił do nas. Weźmie list, przyniesie liny... wszystko, co potrzeba.

C.d.n.

5

TYTUS, ROMEK I A'TOMEK

TEKST I RYS. PAPCIO CHMIEL

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wojciech Pielecki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska, Bożena Zwolińska.

TELEFONY:

Red. naczelny	21-13-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa—Książka—Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00—561 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52, 29-56-19. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo - telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00—958 Warszawa, konto PKO nr 1331-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Redaktor odpowiedzialny: Maria Jaworska

Opracowanie graficzne: Henryk Chmielewski

Redakcja techniczna: Anna Dąbrowska

DRUK: Państwowe Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa.

Zam. 43/1025 J-28

Nr indeksu — 83039/35046

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-561 POCZTOWY

Gdy się ocknąłem z omdlenia — musiało trwać najwyżej parę minut — poczułem wstrętny, chyba najwstrętniejszy ze znanych mi, dokuczliwy odór. Wysunąłem rękę przed siebie i w ciemności natrafiłem na coś, co sprawiało wrażenie wielkiego kawałka mięsa. Drugą ręką chwyciłem za jakąś dużą kość. Nade mną połyskiwał skrawek wygwieżdżonego nieba. Najwidoczniej leżałem na dnie głębokiego dołu. Z trudem wstałem i obmacałem się od stóp do głów. Całe ciało miałem obolałe i sztywne, ale żadna kość nie była złamana, żadne ścięgno naderwane. Ostrząsnąwszy się z oszołomienia przypomniałem sobie wszystkie okoliczności towarzyszące wpadnięciu w pułapkę i ze strachem spojrzałem w górę, czy na tle blednącego nieba nie ujrzę groźnej głowy potwora. Nie było go jednak ani widać, ani słychać. Badając wokoło teren rękami, obszedłem wolno dół. Chciałem zrozumieć, w jakie to dziwne miejsce wpadłem, zresztą na szczęście dla siebie.

Było to coś w rodzaju głębokiej studni o dość stromych ścianach, gładkim dnie i średnicy jakichś dwudziestu stóp. Na ziemi poniewierały się wielkie kawały mięsa, przeważnie w ostatnim stadium rozkładu. W powietrzu unosił się straszliwy zaduch. Depcząc i potykając się o gnijące szczątki, natknąłem się nagle na coś twardego, co okazało się palem mocno wbitym w sam środek dołu, tak wysokim — że nie mogłem sięgnąć szczytu, i jakby pokrytym tłuszczem.

Nagle przypomniałem sobie, że w kieszeni mam pudełko woskowych zapałek. Potarłem jedną z nich i przy jej świetle zobaczyłem, gdzie jestem. Bez wątpienia była to pułapka zastawiona ludzką ręką. Dziewięciostopowy pal z ostro zaciosanym szpicem czarny był od zastygłej krwi zwierząt, które się nań nadziały. Szczątki zaścielające ziemię były szczątkami zwierząt pociętych w kawałki, by oczyścić kół dla następnej ofiary. Przypomniałem sobie twierdzenie Challengera, że na wyżynie nie może być ludzi, bo ze swoją prymitywną bronią nie zdołaliby stawić czoła żyjącym tu potworom. Teraz wiedziałem już, jak sobie radzą. Obojętne, kim byli, chronili się w jaskiniach o tak wąskim wejściu, że potężne jaszczury nie mogły się do nich dostać, a mieli już dość rozwinięte mózgi, by zastawiać wilcze doły na ścieżkach uczęszczanych przez zwierzęta. Te pułapki, zamaskowane gałęziami, pozwalały walczyć z najsilniejszymi i najbardziej dzikimi potworami. Człowiek zawsze był panem stworzenia.

Zwinny mężczyzna bez trudu mógł się wdrapać po spadzistej ścianie dołu, wahałem się jednak dość długo, nim odważyłem się wyjść na powierzchnię, gdzie mógł czyhać dinozaur, który o mały włos nie dostał mnie w swe łapy. Nie wiadomo, czy nie przyczaił się w najbliższych krzakach i nie czeka na mnie. Jednak przypomniawszy sobie, co Challenger i Summerlee mówili o zwyczajach tych wielkich gadów, zdobyłem się wreszcie na odwagę. Obaj zgadzali się wtedy, że te potwory są prawie całkiem bezmyślne, bo w ich małych czaszkach mogą się zmieścić tylko małe mózgi. Jeżeli zginęły z powierzchni ziemi, to przez własną głupotę, która nie pozwoliła im przystosować się do zmieniających się warunków życia.

Zwierzę mogłoby na mnie czatować, gdyby pojęło, co mnie spotkało, ale to wymagałoby umiejętności powiązania przyczyny i skutku. Należałoby więc przypuszczać, że nierozumny potwór, kierujący się tylko niejasnym drapieżnym instynktem, poniechał mnie, gdy zginąłem mu z oczu, i po krótkim zdumieniu wyruszył na poszukiwanie nowego łupu. Wdrapałem się zatem pod sam brzeg dołu i wyjrzałem na zewnątrz. Gwiazdy już gasły, niebo bladło, a chłodny ranny wietrzyk owiał mi twarz. Żaden cień ani szelest nie zdradzał obecności dinozaura. Wyczołgałem się więc powoli i chwilę siedziałem nieruchomo, gotów nurknąć do mego dołu przy najmniejszym niebezpieczeństwie. Potem, gdy martwa cisza i wstający dzień dodały mi odwagi, zebrałem siły i ruszyłem z powrotem ścieżką, którą przyszedłem. O kilkaset kroków dalej znalazłem porzuconą dubeltówkę, a w chwilę później stanąłem nad brzegiem strumienia — mego przewodnika. Oglądając się niespokojnie za siebie, ruszyłem do obozu.

Niespodziewanie wydarzyło się coś, co przypomniało mi o istnieniu towarzyszy. W jasnym — cichym rannym powietrzu rozgrzmiał daleki, ostry huk pojedynczego wystrzału. Przystanąłem nadsłuchując uważnie, lecz znów zapadła martwa cisza. Przez chwilę bałem się, że spotkało ich jakieś nieszczęście. Ale potem przyszło mi do głowy prostsze wytłumaczenie. Rozwidniało się na dobre i najwidoczniej musieli zauważyć

Ciąg dalszy na stronie 7